

SAMPLE
TRANSLATION

MIRIAM DREV
W POZŁACANYM MIEŚCIE

PUBLISHED BY: CANKARJEVA ZALOŽBA, 2012

TRANSLATED BY: MARLENA GRUDA

ORIGINAL TITLE: V POZLAČENEM MESTU

NUMBER OF PAGES: 276

Miriam Drev: W połączonym mieście

Tej jesieni na brak zmian nie można było narzekać. Najpierw przyszła Danutka.

Pojawiła się w drzwiach wejściowych chwilę przed dziewiątą rano, bo dokładnie o dziewiątej zaczynało się pracę. Ponieważ noce były coraz dłuższe, w atelier paliło się światło. Realnie rzecz biorąc, atelier było mniejsze od przeciętnego dwupokojowego mieszkania w bloku; nie było w nim wysokich sufitów ani dużych okien, dających tak bardzo potrzebne w restauratorskim atelier światło, jednak jak na swoją małą powierzchnię, miało wyjątkowo sensowne rozmieszczenie. Z przedpokoju, w którym przy jedynej ścianie bez drzwi było wystarczająco miejsca na trzyczęściową ścianę, skręcało się w prawo do łazienki, a następnie do pokoju dziennego z aneksem kuchennym na jednej stronie i pokojem, pełniącym funkcję atelier na drugiej. Na oddzielającym pasie ściany można było jeszcze umieścić wąskie, podłużne lustro, żeby optycznie powiększyć pomieszczenie.

Około rok temu wyremontowaliśmy z Luką w Lublanie dwupokojowe mieszkanie na piątym piętrze budynku bez windy, mieszkanie, na które po długich pertraktacjach z podstarzałym właścicielem nieruchomości, jakimś wdowcem, zamieniliśmy naszą ciasną kawalerkę. Dla narzekającego na zużyte stawy mężczyzny schody były nie do przejścia. Podczas przeprowadzki, załamani pierwotnym rozmieszczeniem pomieszczeń, niepraktycznością mieszkania, klęliśmy na architekta, że na pewno przespał, przechodził lub przepił większą część wykładów na uniwersytecie, a później dostał pracę po znajomości. Z korytarza mianowicie wchodziło się przez drzwi zaraz na lewo od wejścia do kuchni, za małej na wygodny kąt do jedzenia, a na końcu skręcało się, też na lewo, do pokoju dziennego, nieznacznie większej dziury od tej kuchennej, i stamtąd do sypialni, która jako jedyna miała dość miejsca, by można było zrobić kilka luźnych kroków. Wyobrażaliśmy sobie, że podczas odwiedzin rodziny wdowca ten, kto robił kawę, stał sam za kuchenką, a goście siedzieli na kanapie w klaustrofobicznym pokoju dziennym i czekali, aż zostaną obsłużeni, albo może wciskali się za stół w kuchni, rozsiadając na rogówce pokrytej skajem z drewnianym oparciem.

Natychmiast po wejściu zburzyliśmy ścianę między kuchnią i pokojem dziennym. Prawie cała była z piasku. Woleliśmy nie myśleć, co by się stało z tym zbudowanym na początku lat siedemdziesiątych blokiem po trochę większym trzęsieniu ziemi. Mieszkańcy, którzy byli tam od samego początku i tak jak nam, podczas wbijania gwoźdźca w ścianę, wysypał się na rękę piasek, burzyli się, że ktoś z pieniędzy, przeznaczonych na materiał do budowy, postawił sobie willę.

Lecz niedługo potem już korzystaliśmy z wyremontowanego mieszkania, które po połączeniu dwóch pomieszczeń z oknami wychodzącymi na park, stało się dużo jaśniejsze niż wcześniej. Przeprowadziliśmy się na to wiedeńskie przedmieście, które, sądząc po willach z ogrodami, przeważającymi nad kilkupiętrowymi blokami, wydawało się sztywne. Chęć jakiejś przygody czy pomyłka losowa nas tutaj przywiodła?

Przyjechaliśmy tak jakby na próbę, ja pod koniec urlopu macierzyńskiego z dzieciaczką w ramionach.

Oboje mieliśmy status artysty – swój uzyskałam dzięki publikacji artykułów etnologicznych w czasopismach naukowych i popularnonaukowych, niedawno, w ostatnim kwartale ciąży – przez ten okres mieliśmy więcej czasu niż inni, dlatego mogliśmy sobie pozwolić na przeprowadzkę na północny wschód. Można robić to, w czym jest się dobrym, w gruncie rzeczy to samo, co w domu, a dodatkowo móc przejść z małego na większe. Lecz tutaj, jak się okazało po kilku miesiącach zwodzenia nas przez pracodawcę, albo tylko naszego początkowego braku doświadczenia, Luka był zwykłą siłą roboczą. Jego tytuł magistra i wieloletnie doświadczenie zwyczajnie nie miały znaczenia.

O tym, że w naszym mieszkaniu, za które płaciliśmy w całości z własnej kieszeni, będzie spędzał z nami przedpołudnia także szef Łukasza, jego tymczasowy pomocnik, od dziesięciu lat mieszkający w Austrii Polak Zbigniew Kolczyński, dowiedziałam się ostatniego wieczoru, przed pójściem spać. Luka, odkąd się znamy i jesteśmy małżeństwem, w sprawach osobistych, rzadko związanych z jego pracą, miał zwyczaj stawiać mnie przed faktem dokonanym.

„Znowu postawiłeś mnie pod ścianą,” podkreśliłam, „o nic mnie nie zapytałeś. To jest wejście z butami w prywatność. Mieszkanie jest rodzinne, za małe nawet na naszą trójkę. Ledwo wystarcza na atelier dla ciebie. Najpierw powinieneś zapytać mnie o zdanie”, powiedziałam spokojnie, nie wybuchając z bezsilności, jak zdarzało nam się później.

„Inaczej się nie da. Przedwczoraj przyjechała z Warszawy Polka, żeby pomóc Kolczyńskiemu w drobnych pracach, na jakiś miesiąc, tyle, ile ważna jest jej wiza. Przyda się w pierwszej fazie czyszczenia obrazów i może złocenia ram. Szef zorganizował mnóstwo pracy, zbyt dużo, abym sam mógł wszystkiemu podołać. Chyba jest niewybredna i praktyczna, studiuje wzornictwo przemysłowe, możemy ją nauczyć czegoś dodatkowego.”

„Będzie korzystała z naszych pomieszczeń, ubikacji, łazienki. Nie dość, że mam tyle pracy z Veroniką, to jeszcze ta jedna osoba i wszystko będzie poświęcone. Pewnie będzie się spodziewała jakiejś obsługi w międzyczasie. Jakbym miała jeszcze z tym się cackać!”

„Będzie przychodzić tylko do południa, kiedy ja będę pracował w atelier u Kolczyńskich, a po południu będziemy się zmieniać. Widziałem ją, jest sympatyczna.”

Lecz Danutka nie była tylko sympatyczna. Na pierwszy rzut oka była jak dziewczyna z piosenki francuskiej, której Aznavour śpiewał z kasety: „... *avec ton sourire au coin de tes lèvres, avec ton regard comme rempli de fièvre*”, z zadartym nosem, farbowanymi jasnymi włosami, opadającymi na ramiona, i ciemnymi odrostami. Weszła do środka, jak duża lalka, w mini, z torbą z materiału; pod pachą miała zwinięty w kłębek oskubany sweter, którego nie szkoda do pracy z farbami i rozcieńczaczami, i długi roboczy fartuch.

„*Bonjour*,” mówi w zakłopotaniu, z uśmiechem w kąciку ust, nic po polsku, nic po niemiecku, nic po angielsku.

W niczym nie była podobna do opiekunki, którą Kolczyński zatrudnił, czy też sprawnie sprowadził z Polski do swoich pucołowatych bliźniaków. „Małgorzata,” przedstawiła się ze zwieszonym wzrokiem, u Kolczyńskich, na spotkaniu biznesowym, które chcieliśmy widzieć jako początek przyjacielskiej relacji. Mieliśmy z Luką nadzieję, że jego pracodawca od czasu do czasu udostępni nam swoją opiekunkę, żebyśmy mieli jakieś kilka godzin wieczorem dla siebie, pojechali razem do centrum, by ożywić związek, oczywiście zapłacilibyśmy jej dodatkowo. Rzeczywiście przyszła popilnować Veronikę, ale tylko raz. Na tym zakończyła się przyjacielska pożyczka. Małgorzata ostatnie półtora roku mieszkała w Wiedniu. Załatwili jej wszystkie potrzebne dokumenty, była troskliwą piastunką, młodą kobietą, z jednym wolnym popołudniem w tygodniu, ale i wtedy musiała stawiać się wieczorem w domu. „Jak angielskie opiekunki sto lat temu,” pomyślałam, „głupia, pozwala się wykorzystywać,” chociaż nawet o wykorzystywaniu wiedziałam więcej z literatury niż z własnego doświadczenia.

Małgorzata zachowywała się w Wiedniu jak w polskim getcie. Co prawda, raz na jakiś czas wychodziła na zakupy do samoobsługowej piekarni in Main-love na rogu ulicy, gdzie ją czasami widywałam, lecz porozumiewała się wskazując palcem na wybraną bułkę i dodając przeproszający półśmiech. Kiedy Kolczyński i jego żona wychodzili na obiad z bliźniakami, i brali ze sobą Małgorzatę, na pytanie, co będzie jadła, zawsze odpowiadała „*wszystko jedno*”.

Dla mnie to niepojęte, że może być wszystko jedno, zawsze wszystko jedno, że można się dostosowywać i ciągle walczyć z samym sobą. Wydawało mi się to straszne. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że to pozwalało jej przetrwać. Zachowywała się tak jak przystało na podwładną. Stała się niezauważalna.

Spoglądałam na Danutkę, niepewnie patrzy mi w twarz, wiem, że moje gesty są dla niej niejasne, znam to bezsilne spojrzenie, jest krótkowidzem, nie nosi okularów, próżna. Oczy ma koloru ciemnoniebieskiego jak ostry szklany kamień, który ozdabiał etui na szminkę mojej mamy; przywiozła ją zza granicy i korzystała oszczędnie, na wybrane okazje, a ja kryształ na czubku etui w tajemnicy przykładalam do swoich ciemnych oczu i wyobrażałam sobie, że mają niebieskawy blask.

Odpowiadam na pozdrowienie, pytam, czy nie mówi czasem po angielsku albo niemiecku, mój francuski wystarcza do czytania czasopism i powieści, lecz od konwersacji minęły lata. Będzie prawie dekada, gdy bez złamanego gorsza, ale z wrażliwością na luksusowy, zapatrzony w siebie Zachód, z biletem kolejowym na przejazdy międzynarodowe, jeździliśmy z Luką po Francji i dzięki mojej solidnej wymowie, bez charczącego stylu Edith Piaf, lecz z bardziej stałym, intelektualnym artykulacją „er”, za które ręczyła nasza nauczycielka z liceum, i z wkutymi odmianami czasowników, które wtedy samoczynnie wpływały mi z pamięci, potrafiłam dogadać się w turystycznych pośredniakach i w obliczu słabnącej waluty jugosłowiańskiej załatwić dogodny nocleg.

Danutka uczyła się w szkole średniej rosyjskiego i francuskiego. Podczas naszych pierwszych uprzejmościowych zgrzytających zdań, zza przymkniętych drzwi pokoju dziennego

odzywa się Veronika. Polka, ze swojej małej torby wyszukuje okulary w modnych kocich, na pierwszy rzut oka socjalistycznych oprawkach, po czym znika z Luką w atelier.

Tego dnia mam za sobą trzy godziny pracy, druga połowa to prysznic i przygotowanie śniadania. Rano piszę w atelier artykuł o rozwoju języka w środowisku wiejskim na różnych obszarach Słowenii. Niosę z sobą kawę i przepołowioną bułkę z masłem, by nie tracić wartościowych minut. Na desce, postawionej na kozłach, przygotowałam sobie wczoraj wieczorem, późno, po tym, jak Luka zgasił światło nad pociemniałym i porwanym na rogach obrazem olejnym, na którym na urządzeniu podobnym do różna obracają nieugiętego w swojej wierze męczennika, maszynę do pisania, książkę i stertę literatury przedmiotu. Improwizowane biurko stoi pod oknem obok drewnianej, zżartej przez korniki figurki świętej, następnej w kolejce do odnowy.

To czas przejściowy, ostatki maszyn do pisania, przed wymianą ich na komputery. Pracuję skoncentrowana, używając podczas pisania papieru korektorskiego, który zostawia na palcach i biurku drobny biały kurz i wysusza skórę. Często się myślę, bo nie jestem zawodową maszynistką, tylko opanowuję klawisze na zasadzie „naucz się sam”. Ignoruję dźwięki, dochodzące z sąsiedniego pokoju. Veronika się obudziła, Luka ją przebiera, karmi, bawią się. Dzwoni, „tak szybko”, wzdycham. Wynoszę swoje rzeczy, kładę maszynę do pisania na dnie szafy w przedpokoju, a książkę i tekst, który zamierzam przejrzeć wieczorem, jak mała usnie, na improwizowaną półkę. „Idiotka”, mówię do siebie, „zagranica, zielona trawa za górami. Tak jakby ten eksperyment był nam potrzebny!” Na mojej twarzy zapada zmrok, dzień będzie samotny.

Do południa dwie okrągłe godziny spaceruję z dzieckiem. Tutaj rzadko pada, nie tak jak w domu, gdzie o tej porze roku przywykłam do deszczowych i pochmurnych tygodni, a na początku zimy do odrobiny mgły. Czasami zima była tak żółciście zanieczyszczona i ciężka, że włosy nasiąkały mi jej wilgocią, mokre pasma przyklejały mi się do czoła i policzków, nasiąkały zapachem spalin i dymu. „U nas jest niepowtarzalny klimat, charakterystyczny tylko dla tego obszaru, bagienno kotliński. Strefa klimatu umiarkowanego kontynentalnego,” zdefiniowaliśmy go z Andreją.

„Czujesz wpływ jeziora, obsianego auto-domami, wyobrażasz sobie, że masz teraz jeden taki dom, kładziesz się na drewnianym moło, wokół ciebie ćwierkają ptaki wodne, a ty wyciągasz nos ku słońcu,” powiedziała Andreja.

„Chłopi z bagien nadal wpływają na klimat, susza była tylko powierzchniowa, wilgoć z niższych partii paruje jesienią,” powiedziałam.

„Źadnej szkoły i kursów języka obcego,” dodała idąc pospiesznie ulicą Tity, którą chodziłyśmy w czasach szkoły średniej, między wpół do siódmej i wpół do ósmej wieczorem, gdy zamiast na kurs angielskiego, na który uczęszczałyśmy bardziej z przymusu niż z własnej woli, obchodziłyśmy półokrągły budynek i szłyśmy do Centrum na frytki, sprzedawane w kiosku obok

Namy. Pokrojone ręcznie, grubo posolone, w tłustym papierowym opakowaniu, z wbłą wykałaczką na szczycie.

Na podkoszulek, koszulkę i pieluchę założyłam Veronice czerwonego sztruksowego pajaca, czerwony pleciony sweter, plecione buty – kolej na pierwsze kozaki przyjdzie za kilka miesięcy –, czapczkę z cienkiej bawełny i na nią czapkę wełnianą. Jak cudownie będzie latem, myślę, jak będzie tylko w koszulce! Wkładam ją do wózka. Idziemy do parku.

Przez Lainzer Tiergarten, otoczony wysokim kamiennym murem, wzdłuż którego biegnie rów, czasem wieczorem śmignie łasica. Wiedeń, ultracywilizowany, oswojony z *Gemütlichkeit*, na obrzeżach przemienia się w dziki park.

Pewnego popołudnia Luka jadł kanapkę na drugie śniadanie za drewnianym stołem z ławką, jednym z tych, którymi obsiano trawnik, wznoszący się ku górze i lesie, by rodziny mogły przychodzić na pikniki. Był sam, w środku tygodnia, gdy nie ma spacerowiczów. Zjadłszy, położył się na ławce, wyciszył i przysnął. Po chwili otwiera oczy i ma wrażenie, jakby go coś gdzieś wołało. Zza wysokiej trawy wystaje ryjek, czerwonawa sierść, szpiczaste uszy.

„To był lis. Stał i patrzył na mnie, a jak patrzyłem na niego.”

„Nie powiedział ci, »oswój mnie, proszę«?”

Wywija oczami. Aluzja literacka obchodzi go bokiem. „To nie był sen. To było dzikie zwierzę, od razu wiedziałem, że to nie pies. Stał, nawet się nie poruszyłem, nie wiesz, jaki lis jest w rzeczywistości mały, ledwo zobaczyłbym go w nieskoszonej trawie. Po chwili się odwrócił i uciekł. Może lis to mój ukryty duch zwierzęcy.”

„Już dobrze.”

Co jeśli miał wściekliznę? Mógłby go ugryźć. Odkąd mamy dziecko, moje ciało jest inne. Oprócz nadwyżki hormonów, produkuje zmartwienia.

Luka jest moim mężczyzną, między nami nie ma gierki. Ufamy sobie. Nie należymy do par, które budują związek na tajemnicach, żeby zapełnić pustkę wspólnej codzienności.

Nie ma bzika na punkcie literatury, tak jak ja. Czytuje tylko książki amerykańskiego antropologa, ucznia szamana indiańskiego. Mówi, że w nas, we wszystkich ludziach, jest cicha wiedza, lecz w każdym inna i nieodkryta. Od poznania dzieł człowieka różnego typu przeszkody, tak naturalne, jak i wyuczone. Tych drugich jest dużo więcej i są prężniejsze od żelaznych kajdan. Przeciętna większość, uwięziona w dziurze swojego trwania, w swoich bieżących sprawach, ledwo słyszy wołanie o najważniejszą ze wszystkiego niezależność. Człowiek wpasowuje się w usypiający ciąg dni i ma coraz mniej siły, z postępującym wiekiem coraz mniej i mniej, że jeśli zapalono by w ciemności zapałkę, rozświetliłby się w nim ogień oswobodzenia. Gdyby coś takiego miało miejsce, po przebudzeniu nic nie byłoby już takie, jak wcześniej.

Czuję, że Luka ma nadzieję, że odwiedziło go dzikie zwierzę i chce mu podarować instynktowną moc.

Przed południem w parku jest mało ludzi, ta część jest mniej uczęszczana niż część w dwunastej dzielnicy, z której można dojść drogą leśną do willi imienia boga podróżnych Hermesa. Przy wejściu napisane są godziny otwarcia; latem otwarte jest znacznie dłużej, do zmroku. Wewnątrz znajduje się chatka, w której sprzedają widokówki, piwo, sok, wodę, przetworzone mini ciastka w celofanie z konserwantami. Po lewej stronie, na schodzonej drodze między drzewami zwykle można napotkać ślady dzików. Na początku, kiedy Luka powiedział mi, że chodzą swobodnie po parku, nie czułam się bezpiecznie. „Widziałeś czekany? Co jeśli jakiś wpadnie w szal, zaatakuje cię?”

„Są tam od dawna, oswojone, przejedzone wszystkim. Chyba tylko raz się zdarzyło, że dzik odgryzł palec chłopcu, gdy ten podał mu kawałek chleba. Głupi rodzice, którzy mu na to pozwolili. Jabłka i chleb, jeśli ci zostaną, rzucasz im z daleka.”

Nigdy nie podjechałam wózkiem zbyt blisko, choć dziki trzymały się w stadzie, jak drób. Niektóre leżały na boku, inne niecierpliwie czekały na deser. W torbie przy kołach mam herbatę dla Veroniki i bułki z poprzedniego dnia, twarde, niejadalne, dla dzików. Bułki przetworzone sprzedają po siedem w czerwonej plastikowej siatce, tanio, prawie za darmo. Kupuję te, bo ręcznie wyrabiane *Semmerl*, o których mówi się, że „r” chrupią między zębami jak ich złocista skórka, są trzy razy droższe, niewiele droższe od ciast, które degustuję, kiedy tylko mogę. Wyobraźnia wiedeńskich cukierników, sądząc po bogatych marcepanowych i czekoladowych dekoracjach, ma związek tak z czasami monarchii, jak z inercją wielowiekowego uwielbienia słodczy. Zwykłe bułki, produkowane masowo, wysychają przez noc i tracą smak, nawet jeśli nasączy się je w białej kawie. Niektórzy rzucają je dzikom razem z siatką. Zwierzęta wygrzebują zawartość spożywczą mordą i przednimi łapami, płacząc się raciami w plastiku. Stróż, który jest jednocześnie sprzedawcą w chatce obok wejścia, narzeka na ludzką tępotę; dziki z tego stada są jego pupilami, woła je po imieniu: „Tilde, Sep, Hella...”

Skręcam w szerszą ścieżkę zaraz przy murze, oddzielającym park od autostrady. Mój codzienny obrzęd z dzieckiem, samotny obchód. Myśli kierują gdzie indziej.

Danutka przychodzi do nas systematycznie, ale nie codziennie. Czasami potrzebują ją w atelier u Kolczyńskich. Jest zamężna, jej mąż ma na imię Przemek. Tęskni za nim. Po dwóch godzinach pracy w zamkniętym pokoju obok, robię nam kawę, nalewam do czarnych, białych lub fioletowych filiżanek z fioletowymi i białymi podstawkami. Ucho jest w kształcie spłaszczonej fasoli, design popularnej szwedzkiej firmy Ikea. Danutka ściska Veronikę w objęciu, podnosi ją wysoko do góry, że ta piszczy rozradowana, szeroko otwierając oczy. Kiedy się cieszy, pokazuje dwa całkiem nowe miniaturowe zęby w szczęcie dolnej.

Z młodą Warszawianką podczas jej dwudziestominutowej przerwy promieniejemy w rozmowach, wrywając z pamięci frazy francuskie jak kolorowe ście-r-r-ki. „Uważaj, żebyście się nie zagadały, ma płacone na godzinę,” powtarzał mi przed wyjściem z domu bardziej papieski od papieża Luka. „Zbigniew, mój pracodawca mówi, że gdy Danutka jest tutaj, ja jestem jej szefem, ty jesteś moją żoną, czyli jesteś po części szefową,” urabiał mnie, „dlatego uważaj, żeby wasze wspólne spędzanie czasu nie przerodziło się w plotkarskie przedpołudnia!”

A ja nastroszyłam się na myśl, że ktoś, kogo ledwo znam, przekroczy wrażliwą granicę mojej intymności. Jestem tutaj w domu, czy nie?

Trzeba pilnować, by Danutka nie stroniła od pracy. Jest trochę nieodpowiedzialna, zasugerował Luce Kolczyński. Jej stawka jest niska, niższa od stawki Luki, ale oboje pracują na godzinę. Praca najemna. Kapitalistyczny Zachód. Jej tak czy inaczej się opłaca, mówi.

Danuta ma ukończoną szkołę wzornictwa, zawód, kilka lat stażu pracy. „Doszłam do wniosku, że z wykształceniem średnim nigdzie nie zajdę. Wyobrażasz sobie, że w Austrii za miesięczne wynagrodzenie, jakie dostanę tam, mogłabym mieć na co najwyżej średniej jakości buty skórzane? Jeśli chodzi o szkołę: rozmawialiśmy z Przemkiem, zgodził się ze mną i zapisałam się na studia w wieku dwudziestu ośmiu lat. Wzornictwo przemysłowe, pierwszy rok za mną. W tym roku opuszczę kilka tygodni wykładów. Wolę tutaj coś zarobić. Wykłady będzie można nadrobić.”

Danutka śpi w gabinecie, w dwupiętrowym mieszkaniu Kolczyńskich. Nocleg jest za darmo. Oszczędza na jedzeniu, chciałaby sobie kupić kilka artykułów pierwszej potrzeby. „W Polsce nic nie dostaniesz,” złości się. Serdeczny uśmiech Danuty gaśnie, gdy zaczyna opowiadać, jak jest u nich w Warszawie. Przed moimi oczami rośnie kolaż starego miasta, a język francuski, który dzięki naszym codziennym ćwiczeniom stał się jej pozbawionym braków w słownictwie językiem bezpośrednim, wyłuskany z subtelności, jak dom jej rodziców w stylu ornamentacyjnym z czasów burżuazyjnego dostatku – w którym mają z Przemkiem pokój i skromny aneks kuchenny, i z której kruszy się i odpada tynk. „Po każdej zimie fasada jest bardziej zniszczona, nasz dom umrze,” mówi, „*notre maison va mourir, tu comprends?*” Wpatrując się we mnie swoim bystrym spojrzeniem, demonstruje rękami, jak odpadnięte płyty muru roztrzaskują się na podłodze.

Wspólne dla mojej i Danutki przeszłości socjalistycznej jest nieustanne pragnienie posiadania dóbr, wspaniałych przedmiotów ze sklepów z Zachodu. Łączy nas tęsknota za pięknem i przyjemnością, jaką czerpiemy z jej doświadczania lub jej bliskości. Widzę, że byłam w lepszej sytuacji. Od siódmego roku życia miałam swój paszport; miałam Glendę, lalkę z gumowego plastiku, która otwierała i zamykała oczy, miała włosy, z których można było zrobić koński ogon i kitki. Miałam pastele olejowe w czterdziestu ośmiu kolorach – źródło mojego poznania, że występują rzeczy, na które warto zwracać uwagę. Przyszły pocztą, daleka krewna z Monachium wysłała je „dla artystki”, nawet nie z okazji urodzin, tak po prostu.

„Nie mam nic ładnego, co mogłabym na siebie włożyć,” mówi Danutka. „Mam związane ręce i wielkie marzenia. Nie ma pieniędzy. Ciągłe będę miała wypisane na czole, że odczuwam brak? Ivana, u nas nic się nie zmienia. Polityka jest pogrąŹona. W Polsce nigdy nie będzie sprawiedliwości.”

„A u nas są zmiany. Słowenia nie chce już podporządkowywać się sprawom Jugosławii, ciągle nowym reformom, które nic nie dają.” Pobudzam szare komórki, próbując wprowadzić do obcej mowy słownictwo polityczne. „Nawet piszą o chęci odłączenia, o możliwości wyzwolenia.”

Potem nie było jej u nas tydzień. W atelier Kolczyńskich pomaga przy dublowaniu i czyszczeniu dwóch dużych prac olejnych z osiemnastego wieku. Obrazy ołtarzowe. Są za duże do naszego pokoju atelier. Luka całymi dniami pracuje u Polaka. Niedaleko, na tej samej ulicy. Zamiast drugiego śniadania o dwunastej, bierze sobie trzy kwadransy, przybiega do domu, wcześniej do mnie dzwoniąc, i obiad już na niego czeka. Jemy przy okrągłym stalowym stole, siedzimy na składanych krzesłach, które razem z innymi najpotrzebniejszymi meblami musieliśmy kupić sami, bo mieszkanie wyposażone było tylko w szereg plastyfikowanych elementów kuchennych.

Dni są coraz krótsze, nasze życie towarzyskie utrzymuje się na poziomie nędznego zera. Z żyjącymi tutaj Słowęciami nie udaje nam się nawiązywać kontaktów, raz na jakiś czas odezwie się tylko przyjaciel z Slovenskiej Bistricy, zatrudniony w jakimś wiedeńskim przedsiębiorstwie. W niedzielę zapraszamy go na kolację. „Słowęcy w Wiedniu są jak podziemne nikiące rzeki,” mówi Tine, gdy pytam go, jak włączyć się do społeczeństwa. „Chorwaci są bardziej zżyci, widują się w kościele i potem regularnie spotykają w domach.”

Rano, zgodnie ze stałym zwyczajem, wstaję i pracuję. Na tablicy przed wejściem do parku zostaną właśnie zmienione godziny otwarcia, z letnich na zimowe. Pcham wózek po równej ścieŹce, opadłe liście z drzew grabione są z drogi na bieżąco. Potoczek minut płynie czasami jak w spowolnionym tempie. Znam każdy zakręt. Zdarza się, że na spacerze nikogo nie spotykam. Kiedy Veronika nie śpi, opowiadam jej historie, choć mowa złożona jest dla niej jeszcze niedostępna. Nie chcę tylko, by przeniosło się na nią moje poczucie zawieszenia w pustce, które chce zapanować nad innymi wrażeniami. Wyciąga ku mnie swoje słuchowe czułki, nie spuszczać wzroku z moich ust. Staję się jej osobistą bajarką.

W drodze do domu wypija herbatę i teraz śpi w kokonie swojego małego pojazdu, swoich ubrań, swojego schronienia. Nie mogę wiedzieć, co jest pod jej powiekami, przeplatanymi jedwabnymi kapilarami, cieńszymi od włosów. Może tylko kolory, kształty i nasze duże ciała, twarze, dudniące głosy. Jej czucie nie ma setek ram jak moje; nie tych żelaznych i też nie tych słabych.

Zamiast w swoim zwyczajowym pośpiechu, który podczas pchania wózka z dzieckiem poskrabiam, iść bezpośrednio w kierunku naszego bloku, robię kółko. Staję przed zamkniętymi drzwiami na początku ulicy. Drzwi prowadzą do dużego ogrodu, w którym zza drzew bardziej można usłyszeć niż odróżnić kontur budowli, w gruncie rzeczy też bloku, lecz na tamten czas

wyższej klasy niż większość innych wielomieszkaniowych budynków. Jest trzypiętrowy i ma dwa wejścia. Przeznaczony jest dla ludzi o stosunkowo wysokim standardzie życia, którym nie chce się zajmować własnym domem.

Po lewej stronie, na dwóch górnych piętrach mieszkają Kolczyńscy. Luka, Danutka i najprawdopodobniej żona Zbigniewa Juta, restauratorka, „z dwiema lewymi rękami,” jak komentuje w domu mąż, teraz pewnie kłaniają się nad trzema niedawno otrzymanymi obrazami ołtarzowymi. Pierwotne kolory obrazów są przyciemnione, okopcone od dymu niezliczonych świec, palących się nad nimi, na wierzchu pokryte cienką warstwą tłuszczu – połączenia osadzonych składników powietrza, potu, oddechu, wykaszanych niewidocznych odrobinek śluzu modlących się; i najprawdopodobniej łez, wypłakanych w ławkach kościelnych. W trakcie dwustu, trzystu, czterystu lat także łyż, gdy wyparują, osiadają na powierzchni jak lekki film, a wypłakane uczucia smutku, ulgi, szczęścia wnikają w patynę, pokrywającą obraz. To, zdaniem niektórych, składa się na ich szczególne, głębokie piękno, natomiast zdaniem specjalistów do spraw sztuki i restauratorów, to nic innego jak warstwa skorupowatego brudu.

Proboszcze zwykle ubolewają nad wyceną odnowy dzieł sztuki, najchętniej bowiem omijałoby państwowe i kościelne centra restauratorskie, zajmujące się ochroną dziedzictwa kulturowego. Obrazy oddaliby okolicznemu rzemieślnikowi, by je upiększył, bądź, w przypadku fresków, powielił lub przemaalował. Takie praktyki uprawiano niejednokrotnie, także w naszych małych kościołach. Oburzeni wieśniacy kręcili głowami, widząc ekipę restauratorską, bezwzględnie usuwającą malowidło wcześniejszej daty, by światło dzienne ujrzało wyłaniające się spod niego dzieło źródłowe, na pierwszy rzut oka prostsze, przedstawiające najczęściej Maryję Dziewicę z Jezusem w ramionach – jedną z niezliczonych wersji, we wszystkich odcieniach błękitu, od szarego, prawie przezroczystego, jaki przypisuje się sferom niebieskim, do morskiego zielonkawoniebieskiego –, która swoim uśmiechem i mocą odpuszczania grzechów ułatwiała wiernym codzienność.

Obrazy w atelier najpierw wyciągnie się z ramy zewnętrznej, potem ściągnie je z robaczywego blejtramu, oceni szkody i zabierze się do kolejnych etapów pracy. Przy dużym płótnie, wysokim nawet na trzy metry, potrzebna jest wprawna lub fachowa pomoc, samemu można zrobić ledwie część. Może właśnie teraz są w trakcie dublowania, gdy na stare, rozpadające się płótno podczas czynności próżniowej przylepiono z tyłu nowe. W pomieszczeniu pachnie woskiem do dublowania; jeśli wejdzie się do niego z zewnątrz, poczuje się przyjemną swojskość przypominającą zapach z piekarni.

Rzucam okiem na panel z dzwoneczkami. Przydałaby się teraz przerwa przedpołudniowa. Zbigniew Kolczyński, który na początku naszej znajomości zawsze z lekkim ukłonem całował mi dłoń, co z zaskoczenia tą obcą mi formą zalotów wprawiało mnie w zakłopotanie, po jakimś czasie zaproponował także przejście na ty, czym przerwał swój rytuał dodając dobitnie: „Odezwij się kiedyś, pójdziemy na kawę; teraz jesteśmy z sobą związani, dwie rodziny”, wywołując tym samym moją niechęć. W rzeczywistości powiedział „slepione”, przekonany, że tak go lepiej zrozumie. Bez kłopotu miesza języki, do polskiego wprowadza chorwackie słowa, przyswojone

podczas wakacji w Dalmacji, i tworzy swoje. „Wspomnienia o niszczącym komunizmie zostawiliśmy z Jutą za sobą. Na początku nie było lekko, tutaj też nie jest. Ale wy, na pewno będziecie chcieli za wszelką cenę zapewnić sobie i swojej córeczce lepsze życie. Dwie rodziny,” powtórzył, „polska i jugosłowiańska, w Austrii.” Brzmiało jak przekleństwo.

Przed wejściem zastanawiam się, czy zaproszenie było szczere. Mam złe przeczucie. Jego odrobinę tajemnicze, szkliste spojrzenie nie wzbudza we mnie zaufania. Migotają przede mną szczegóły, których nie potrafię złożyć w koherentny obraz. Nie pojmuję, co dzieje się wokół mnie, obraz gaśnie. Odrzucam złe przeczucia. No przecież zaproszenie było prawdziwe! Znowu włączyła się twoja wyobraźnia, knująca intrygi, sprzeczasz się z sobą.

Lecz kto, po tych wszystkich nagromadzonych wydarzeniach, mógłby powiedzieć, że to o dwóch rodzinach było zwykłą frazą? A zwłaszcza, że „za wszelką cenę” dołało oliwy do ognia?